

OGNIWO

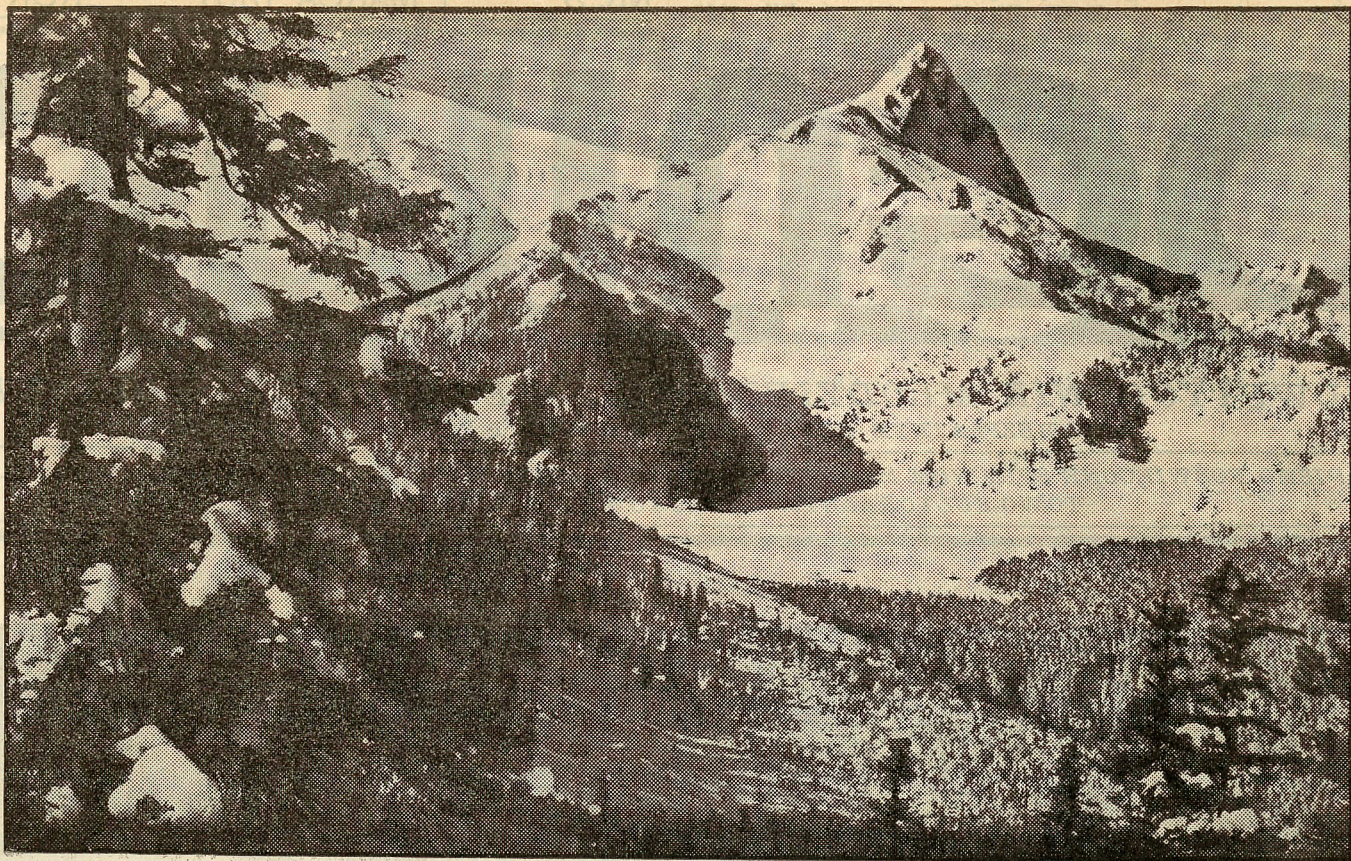
DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI
Z BEZPŁATNYM DODATKIEM „OGNIWKO” I POWIEŚCIOWYM

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻOWYM - ORGANIZACYJNYM - INFORMACYJNYM - OŚWIA-
TOWO-KULTURALNYM - NAUKOWYM I WYCHOWAWCZYM



Piotr Stachiewicz

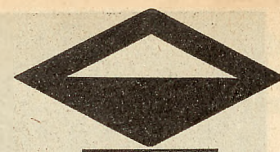
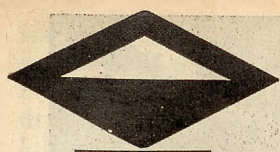
**Czasem święty Józef
Ciągnie tranwy wózek.
Ale częściej smuci.
Bo śniegiem przyrzuci.**



Giewont i Hala Gąsienicowa,



Szałas pasterski.



Szukanie idei.

Pojęcie idei jest w pewnej mierze fikcją. W pewnej mierze dlatego, iż ideę rozumieć tu trzeba po pierwsze jako nierealną i oderwaną, metafizyczną myśl, która jednak zdolna jest pobudzić do działania, po drugie jako twardy, granitowy i nawskroś realny wskaźnik, który byłby fundamentalną podstawą w życiu społeczeństwa. Na idee nie należy patrzeć przez mikroskop i nie można ich sztucznie rozkładać. Wielkość idei nie zależy bowiem od możliwości jej zrealizowania, lecz od jej wpływu na wyzwolenie energii do czynu i pracy twórczej. Idea państwa słowiańskiego nie stworzyła wprawdzie słowiańskiej jedności, ale zbudowała do czynu liczne plemiona i zbudowała mocarstwo od morza do morza. A dalej idee nie są znakami rzeczy i faktów, ale wyrazami naszej woli, która jest zdolna w znacznej mierze fakty stwarzać, rzeczywistość i rzeczy przetwarzać i przekształcać. Idea niepodległości Polski w oczach szkoły krakowskiej była fikcją. Ocena ta wynikała z załamania się woli niepodległości w społeczeństwie po r. 1863, z powszechnego zwątpienia i poczucia bezsiły. Druga idea, tak samo wyraz woli społeczeństwa nie była fikcją, bo była niezależną od poprzednich wypadków, ale ideą, budzącą do czynu i pracy twórczej, ideą, która zwyciężyła, bo niepodległość uzyskano.

Nam tak samo nie wolno przerażać się wielkością, czy trudnością idei, lecz musimy, co więcej, mamy obowiązek ostrożnie i z rozmysłem dobierać drogi do niej wiodące. Nikt zaś chyba nie zaprzeczy, iż trudno jest stworzyć idee, że tak powiem na eksport, gdy brak ich w życiu wewnętrznym widać na każdym kroku. Lecz jak mało zrobiło się w kierunku jej zdobycia! Co prawda starano się znaleźć pewne wytyczne życia społecznego, socjalnego czy politycznego, lecz to, co nazywa się programem polityki bieżącej, nie może być w normalnym społeczeństwie czymś dorywczym, z dnia na dzień przez przywódców wymyślanym, np.: stworzyć raz blok — by za chwilę o nim zapomnieć, złączyć się — by za rok z przekleństwem przejść do obozu wprost przeciwnego i t. d. Widać więc, iż od pewnego czasu życie społeczne nastawiano na jakieś tory, ale wytyczne te nie miały żadnych podstaw, były jeszcze zbyt niepewne i opierające się na chwilowym nastroju. I tu dochodzimy do istoty zagadnienia. Wielki cel społeczeństwa musi zacząć się od stworzenia programu, nie na niedziele i święta, nie na zjazdy i festyny, ale od zbudowania ideologii na dnię codziennej i systematycznej pracy.

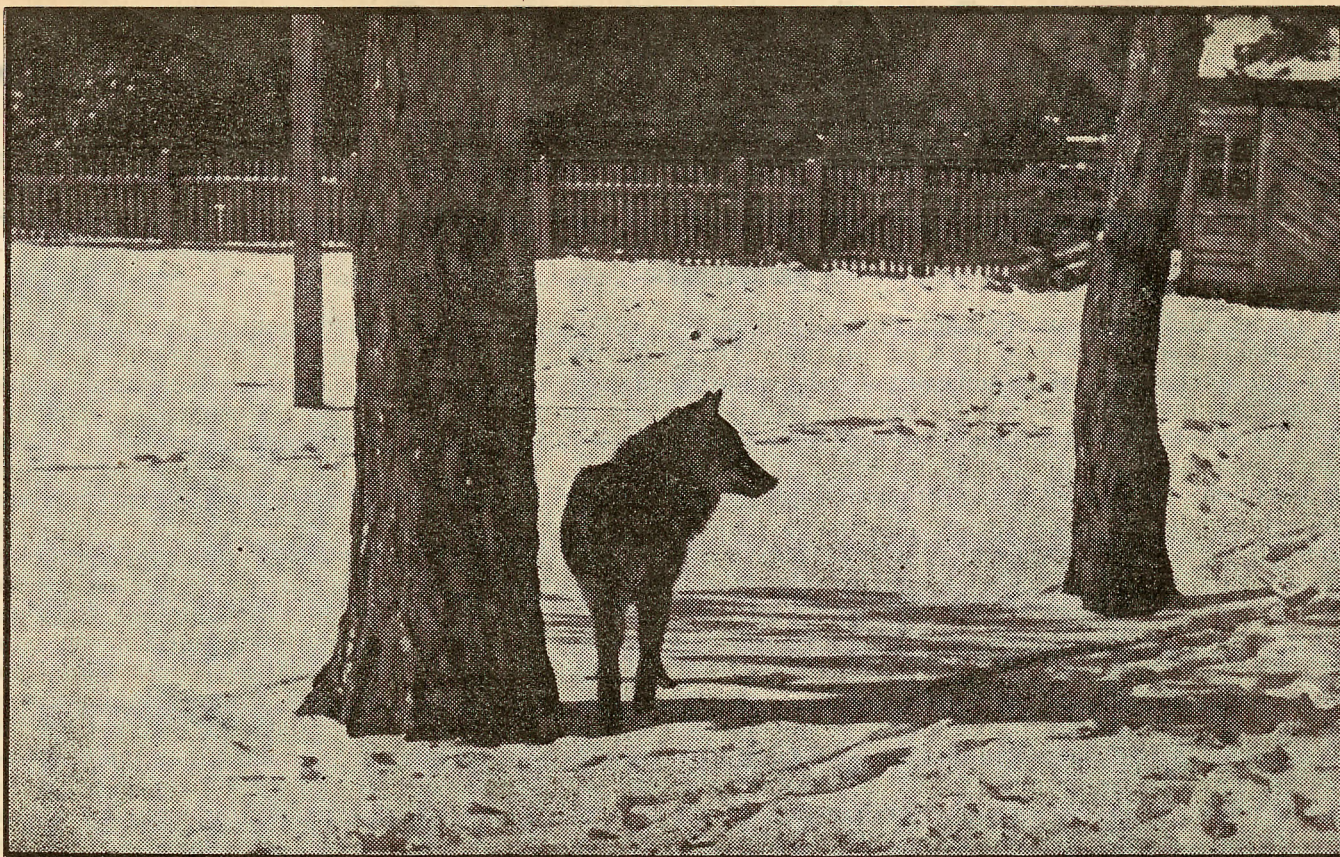
Najbliższym więc zadaniem społecznym i najważniejszym jest stworzenie programu zasadniczego, przez który rozumiemy pewną i trwałą ideologię społeczną, ulegającą nieznacznej ewolucji pod wpływem wymagań życia, w istocie swej stałą, z pokolenia na pokolenie przekazywaną. Ostatnie słowa trzeba rozszerzyć. Znaczenie tego konserwatyzmu, tutaj raczej tradycji — bo tak nazywa się przekazywanie z pokolenia na pokolenie — zrozumiemy dopiero, przypomniawszy sobie brak tejże u nas (tradycja narodowa). Cała nasza ideologia jest, jako spuścizna niewoli, w istocie swej tylko społeczna, czy to religijna, czy socjalnie-społeczna, więc do pewnego stopnia panarodowa, antynarodowa. Dlatego nasz program narodowy musi powstać od fundamentów, a musi być wzniesiony tak, by mógł wrosnąć w społeczeństwo i stać się tradycją, aby następne pokolenia uzupełniały go tylko a nie budowały na ugorze, tak jak my.

Jesteśmy jedyną mniejszością, która już przed wojną była mniejszością. Dlatego nie mamy tej tradycji innych mniejszości, które powstały po wojnie, budowane na innym podłożu, już narodowym. Wtedy, gdy inne mniejszości tworzyły swoje i nowe idee, myśmy byli do pewnego stopnia wrogami tychże, zajęci wciąż jeszcze partyjnictwem, tu kierując nasze myśli i poczynania, tu rozbijając nasze siły, a przy tym zapomnieliśmy na ideę polskość czy jedność, czy na każdy ich synonim. Jest rzeczą jasną, iż także nasze partie polityczne, chociaż tworzone dla naszego społeczeństwa, powstały i zostały zbudowane na tego rodzaju psychozie, lub też z biegiem czasu i pod jej wpływem stały się takimi, i pomimo częściowego przystosowania programów do dzisiejszej sytuacji, w istocie swej są antypolskie. Nic też dziwnego, iż w obecnej chwili, żeby nie dezorientować społeczeństwa, nie mogą być za ideą pronarodową. Aktualnym więc zagadnieniem i ich obowiązkiem jest gruntowna rewizja ideologii i odrzucenie wielu rzeczy do cennego lamusu historycznych tradycji. To byłby pierwszy krok realny na drodze, wiodącej do urzeczywistnienia naszej idei.

Obowiązkiem zaś tych, co ideę taką już posiadają, jest mocne i zdecydowane podjęcie naczelnych haseł, pójście z nimi do społeczeństwa, wyłożona praca nad budową dróg i ich urzeczywistnieniem, wyciągnięcie z tych haseł jasnych i pełnowartościowych konsekwencji, tworząc w życiu społecznym silny i czysty prąd ideowy. To przejaśni zamgloną dziś atmosferę i panującą pomimo licznych idei — bezideowość, pozwoli skupić wokół naszych sztandarów liczne rzesze społeczeństwa, tchnie w nasze szeregi nowy zapał.

-ebur-

* * *



Wilczur.

Kazimierz Truchanowski.

Spuścizna

Zachowaj nas, Panie w wierze i miłości nieprzemijającej; spraw, by nadzieja ziściła się w wielkim Czynie.

Z tobołami na zgarbionych plecach, wygnańcy opuszczają wieś i długim sznurem ciągną na wschód. Niekiedy świeńce nahajka kozacka, to koń rozhukany zadudni kopytami po wyschłej ziemi, zaszłocha przerażone dziecko, chowając się za matczyną spódnicę, lub koza, wleczona na postronku, nogi szeroko rozkraczy, łeb spuści ku ziemi i uparcie zawraca do chlewa.

Smutni mieszkańcy przykucniętej wśród borów wsi — gęsiego ciągną na wschód, a za nimi rozściela się smuga gęstego dymu, buchającego z opuszczonych chałup.

Spalili, bo i jakżeż! Niemcom ostawią jeno czyste pola, a i te zatrują jadem przekleństw okrutnych...

A chłopci?...

Chłop, to niby pszczoła — odejdzie, gdy mu chałupę spalą i dobytek zniszczą. Odejdzie, w pół drogi przystanie i rychło nawraca; po zgłiszczach pochodzi, popatrzy i dalej w świat, jeno oczy tęskliwie zwraca za słońcem, kiedy pocznie zapadać do snu.

Ostałby, — a toć i niemiec nie swój...

— Żywo tam! — krzyczał kozak na Macieja, który rydłem jeszcze coś kopał, zagarniał i darnią okładał.

— Wnet skończę — odparł matowym głosem.

— Żywo, bo nahajem!... — I odjechał do grupy rajcujących bab, które smutne stały we-

dle opłotków i fartuchami ocierały łzy. Rozhukany koń stanął dęba — baby, niby gąski spłoszone pierzchły na wszystkie strony.

— Butelkę wódki mu dałem i jeszcze się sierdzi. Ej, taka natura! Maciej ciężko westchnął, splunął w szerokie garście i znów ziemia, niby z pod łap olbrzymiego kreta, wysoko wlatywała nad jamą i rozsypując się zaścielała murawę.

— O, tak! Rękom spoczynek będzie... Wybieleją kiejby płótno na słońcu... — baby skarżyły się cicho i ocierały rzęsite łzy, tuliły do łon główki dziecięce, gładząc szorstkimi dłońmi roztrzęsione, lniane włosy. Szeroko rozwarłe oczy dzieci trwożnie patrzyły w zmartwiałe twarze matek. Jedna z bab głośno szłochała i pokrywała pocałunkami śliski pysk i orzechowe oczy krowy karmicielki, której na rogi moskał postronek nakładał. Przerażona krowa porykiwała żałośnie i wystraszona oglądała się w koło, a gdy poczuła silne szarpnięcie, rozparła się mocno i szorstkim językiem poczęła lizać ręce gospodyni.

— Ej, ty!... — i pręga na skórze nabrzmiała.

— Nie dam i nie dam — szłochała baba, czepiając się naprężonego postronka.

A dalej rzucając ziemię, cicho, lecz z mocą mówił Maciej:

— Ani moskałom, ani germańcom nie dam! Kiej wrócę, zasieję łan złotej pszenicy...

Czy tylko nie zmoknie, czy tylko nie zgnieje?... — pieczołowicie oglądał jamę, potem worki ładowane znosił i kładł na dnie, suto wymoszczonym słomą. Wreszcie, gdy wszystko było goto-

we i trzeba było tylko wierzch założyć belkami, a na to, niby na mogiłę grubo nawalić ziemi, nie mógł się oprzeć pokusie, zeszedł do jamy, drżącymi z pośpiechu rękoma rozwiązał wór i z lubością po same łokcie zanurzył ręce w sypkim, złotym i chłodnym ziarnie.

— Kiej wróć, zasieję łan złotej pszenicy..., a taki ani moskalom, ani germańcom nie dam! — mówił twardo i znowu ręce zatapiał w sypkim ziarnie.

Gdy robotę zakończył, zdjął czapkę, przeżegnał ziemię, pod którą zagrzebał największy swój skarb, potem kolejno żegnał zieleniejący łan, zagrodę rodzinną i te lasy odwieczne... — otarł pot z czoła i ciężko powłócząc buciskami, niby za pogrzebem powłókł się smutny, i jeszcze raz się obejrzał...

U przyciesia chałupy stał Burek i smutnym wzrokiem patrzył za gospodarzem, odchodzącym z rodzinnej zagrody. Chłop otarł łzy i zawołał:

— Pódź, Burek, pódź!...

Pies stał nieporuszony, jeno głowę podniósł wysoko i zawył żałośnie.

— Psie-krwie!... — zaklął rozsierzony i zawrócił do zagrody. Burek podkuliwszy pod się ogon zaczął uciekać, lecz zwabiony kawałkiem chleba wrócił do rąk gospodarza, a ten mu sznurek zarzucił na kark i w wielkiej zgodzie poszli za tłumem na wschód, a za nimi, czepiając się suchych łodyg włókło się pasmo siwego dymu.

Niebawem z wioski nic nie pozostało, jeno sterczały opalone kominy i szczątki drzew owocowych.

* * *

Ze wschodu i zachodu z groźnym pomrukiem ciągnęły wrogie wojska.

Rozpoczęła się walka. Słowa komendy padały ostre i twarde, jak stał pękających granatów. Niezliczone tłumy ludzi zbitych w szeregi lub czworoboki, połyskując w jesiennym słońcu ostrym żelaziem zjezonych bagnietów, coraz to wyłaniały się z okalających pole lasów i twardymi stopami okutych butów wgniatały w ziemię zieloną ruń zbóż wschodzących, zбивały na miazgę delikatne źdźbła, aż sok wytryskał, niby krew żywa. Wytryskał słodki, zielony sok i wsiąkał w grudy szarej ziemi...

Przewalały się pułki, zastępy całe żołnierstwa, przerzuconego z odległych krańców Rosji.

Za cara i otieczestwo...

A z drugiej strony, niby olbrzymi wąż, wyłaniały się masy żołdactwa pruskiego.

Niby złe moce szli i szli bez końca, szli w takt ryczących armat i wśród piekielnego trzasku pękających granatów, zwierali się w śmiertelnym uścisku, i wśród tego zgiełku, wśród nieustannego gwizdu kul, słyszałeś jakby pomruk srogiego lwa dziki wrzask „hur-r-ra!“, to znowu jęki i przekleństwa konających.

— Hur-r-ra!... — odbijało echo od ściany gęstego lasu i niosło się nad stratowanymi polami, to znowu odbiwszy się od ziemi, wlatywało w górę, ku chmurom...

Nad polem walki unosił się słodkawy czad ludzkiej krwi i soku stratowanej runi...

Bagnety, niby żądła potworne z ostrym sykiem nurzały się w drgających ciałach i niby w zębach potwornych trzeszczały łamane kości...

Za cara i otieczestwo... Hur-r-ra!... Niby łan dojrzałego zboża pod ostrym cięciem kosy waliły się szeregi ludzkie. Drgające ciała z jękiem upadały na wilgotną, jakby spoconą z wysiłku i przerażenia ziemię.

Na pustych, stratowanych polach zakwitły szkarłatne kwiaty ran, z których buchała gorąca, żywa krew...

Jakby wtór do piekielnego zgiełku pękających granatów, uniósł się w niebo jęk umierających:

— Hospodi, pomiłuj!...

— Herr Jesus!... — jęczał obok leżący Niemiec.

— Jezus — Maria!... Boże, zlituj się!...

— Hospodi, pomiłuj!... — bezustanku brzmiała litania jęku i przekleństw.

Kantem pocisk warczący uderzył z mocą w kryjówkę; wraz z ziemią wyleciało w górę złote ziarno pszenicy i połyskując w słońcu, rozsypało się po całym polu, pokryło rany poszarpanych ciał.

Maćkowe pole pokryły trupy.

Za cara i otieczestwo...

* * *

Niby nawałnica przeminęła krwawa walka, uciły ryki tysięcy armat. Przeminęła, i tylko pozostał niemy smutek, błakający się wśród zgłiszcz i sterczących kominów, zaglądający w jamy, wyrwane pociskami. Niebo w nieutulonym smutku zwiślało szare, bezbarwne...



W słoneczne południe.

Bezbarwne niebo, poranione pola — spuścizna wojenna...

* * *

Z przyjściem wiosny jeno szare piołuny i ostre perze chwyciły w objęcia korzeni grudki ziemi, w których pozostało trochę ciepła rodnego, trochę życiodajnej próchnicy; dalej brzoźka wyrosła, blada anemiczna i spragniona słońca pieła się coraz wyżej i wyżej, a od korzenia szary mech zdradziecko pełził po białej korze, pokrywał cienkie gałązki, przeżerał korę i ssał słodki sok, zapuszczał korzenie coraz głębiej, aż drzewko poczęło więdnąć i próchnieć...

* * *

Z przyjściem wiosny i Maciej powrócił do rodzinnej ziemi. Wśród tego zniszczenia, jakie zastał, chyba instynktownie odnalazł miejsce, gdzie dawniej stała chałupa, potem długo chodził po polu w poszukiwaniu swego łanu, wreszcie padł na kolana i spieczonymi wargami przylgnął do grudy ziemi, która jakimś cudem nie została zrujnowana, w której poczuł swój pot, jakim zraszał tę ziemię w zbożny czas pracy.

Miejsce, gdzie była pokryta pszenica, stało otworem i tylko belki zgruchotane widniały z pod ziemi.

— A no! Przyjdzie się zdychać z głodu — Maciej kiwał żałośnie głową.

— I — i... chłopie! Bogać to w sercu nie masz? — coś mu tam z głębi podszeptło i naraz



Brzozy w śniegu.

taka go hardość, a zawziętość chwyciła, że nieprzytomny rzucił się na kupy nawalonej gliny i jał ją spychać do dolów, równać, a plantować pagórki. Baba i dzieciśka przyszły z pomocą i od świtu do zmierzchu pracowali zawzięcie. Maciej, to i nocą, gdy księżyc przyświecał, wychodził w pole i pracował póty, póki ze zmęczenia nie padł na wilgotną ziemię.

— Wojtek, jeno czysto wybieraj kości, potem wywieziem na cmentarzysko. Pamiętaj, bo to na tych kościach nic nie urodzi, jeno piołuny gorzkie rozrosną...

— A czemu nie urodzi?... — pytał chłopak.

— Już ci powiadam, że nie urodzi. Przez błogosławieństwo polegli, bez złości swoją... Takie ciało moskała, albo germańca jest złe. Zasiane zboże wyżre, wypali i na tym koniec...

Na żmudnej pracy zesła im wiosna, przemięło upalne lato, wreszcie pod jesień pole było zrównane, chwasty wyrwane i chłop począł się troskać czymby tu pole nawozić a zasiać. Markotny obchodził każdy zakątek bezustanku medytując. Raptem przystanął: przed nim na grubych źdźbłach złożyły się trzy kłosa pszeniczne. Były tak dorodne i pełne, że chłop aż się zdumał.

Owe trzy kłosa ostrożnie zebrawszy w garść, by się ziarno nie wysypało, wraz z łodygami wyszarpnął z ziemi. Korzenie ich były tak rozrosłe i krzepkie, że się nie dały porwać, a pociągnięte z całej mocy, odwały płat darni, z pod której ukazały się pożółkłe kości. Obok czaszki strzaskanej Maciej dojrzał srebrny łańcuszek, a na nim medalik. W jednej garści pieczołowicie trzymając kłosa, drugą sięgnął po medalik, otarł go z ziemi i przyjrzał się z bliska. Z jednej strony widniała Matka Boska Częstochowska, z drugiej Orzeł Polski z napisem „Boże, zbaw Polskę“.

Łzy zapiekły pod powiekami Macieja i serce ścisnęło żałośnie.

— Biedaczysko! — wyszeptał cicho, a gdy się opanował, co tylko miał mocy w piersi krzyknął na syna. Gdy ten zdyszany przypadł do ojca, Maciej rzekł:

— Cud ci pokażę, cud boski... Widzisz, trzy kłosa wyrosły na ciele poległego Polaka... Widzisz cud!...

— Skąd tam wiecie, że to Polak! Może to Germaniec, albo Moskał.

— Ady patrz!... — pokazał na dłoni srebrny medalik.

* * *

Był dzień Matki Boskiej Siewnej.

Maciej zebrawszy trzy kłosa pszenne i czaszkę strzaskaną, poszedł do zrujnowanego kościoła, gdzie tylko w niszy muru pozostała nietknięta figura Matki Boskiej Siewnej, i składając czaszkę i kłosa u Jej stóp — prosił błagalnie:

— Błogosław, Matko Najświętsza!...

Kamienna figura Matki Boskiej z wyciągniętymi przed siebie rękoma, zdawało się ożyła, by pobłogosławić spuściznę krwawej walki.

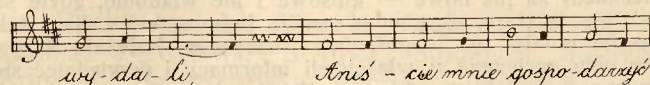
Potem Maciej wyłuskawszy ziarna z owych trzech kłosów, wrzucił w spulchnioną ziemię i szeptał modlitwę, która niosła się z wdzięcznym sercem pod strop uśmiechniętego w jesiennym słońcu nieba, pod podnózek Tronu Najwyższego.

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny — zachowaj nas Panie.

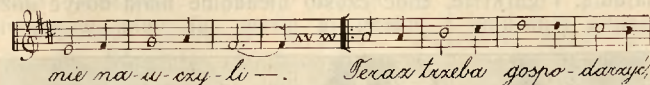
Czymuście mnie mamuliczko...



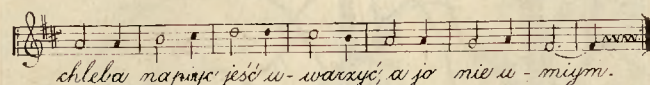
Czymu - cie mnie ma-mu-li-cz - ko tak wczas



wy-da-li, Aniś - cie mnie gos-po-darzyć



mie na-w-czy-li - Teraz trzeba gos-po-darzyć



chleba napieć jeść w-warzyć, a jo nie u-mi-ym.

1. Czymuście mnie mamuliczko tak wczas wydali,
Aniście mnie gospodarzyć nie nauczyli,
Teraz trzeba gospodarzyć
Chleba napieć, jeść nawarzyć —
A jo nie umiym.
2. Daliście mi trzysta ryńskich, dwie pory koni,
A ku tymu dwie krowiczki, sześcioro świni,
Teraz mi to chłop przepije,
Przyjdzie du dóm, to mnie bije —
Mamulko moja.
3. A jak wy też tu przyjdziecie, mamulko moja,
To on mi też słówko powi: żoneczko moja,
A jak wy zaś odyńdziecie,
Każdy kąt sy mną wymiecie —
Mamulko moja.
4. Szak żeście wy mamuliczko chłopą świadoma,
Nie użyje nic dobrego przy mężu żona
Jyny smutku a niedoli,
Od starości głowa boli —
Mamulko moja.

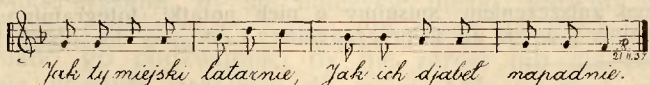
Śpiewała: Brzozowa Franciszka, żona górnik, Orłowa.
Zanotował tekst: Karol Piegza.
Melodię: Eugeniusz Fierla.

* * *

Też kaj indzi dziywki są...



Też kaj in-dzi, dzi-y-wki są, Nig-dzi sie tak nie p-y-sz-ni-ą



Jak ty miejski katar-nie, Jak ich dja-b-eł na-pad-nie.

Śpiewała: Wańkowa Weronika, wdowa, Łazy.
Zanotował tekst: Karol Piegza.
Melodię: Eugeniusz Fierla.

* * *

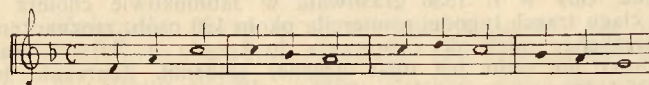
Szła sierotka...

Do umieszczonej w przeszłym numerze „Ogniwa“ śląskiej pieśni ludowej pod pow. tyt. przysłała nam brakujące zwrotki p. Olga Stuligłówna z D. Łomnej, które poniżej zamieszczamy.

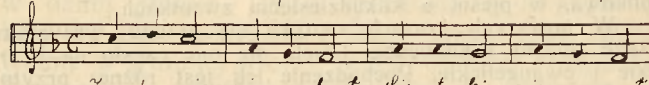
4. Jużech ułómiła,
Aji posmyczyła.
Już sie mi maceczka,
W grobie odezwała.
5. Co tu tela szmatle,
Po tym moim grobie.
Ach moja mamulko,
Puście mnie ku sobie.

6. Cóż tu będziesz jadła,
Cóż tu będziesz piła?
Bożą mannę jadła,
Z nieba rosę piła.
7. Idź ty se sierotko,
Ku swoji macosze.
Ach niech że ci ona,
Głowiczkę poczosze.
8. Jak mie ona czesze,
Strumykem krew ciecze.
Jak mnie ona myje,
To mnie przy tym bije.
9. Ona swoim cerkom,
i t. d.

Tekst jeszcze dokładniejszy o 20 zwrotkach przysłał nam p. Alojzy Zelek z Karwiny. Melodia jest jednak inna:



Szła sie-rot-ka po wsi Szceka-li na nią psi



Ło-dyn sie nie o-brot Sierot-ki nie o-gnił

1. Szła sierotka po wsi,
Szceka-li na nią psi.
Żodyn sie nie obroł,
Sierotki nie ogoł.
2. Ej obroł, sie obroł
Sóm Pón Jezus z nieba,
Ogoł sieroteczkę,
Doł ji kasek chleba.
3. Dokądże ty idziesz
Sieroteczko biedna?
Ach idę, jo idę
Swej mamulki chleđać.
4. Daleko ty zóńdziesz
Swej matki nie nóńdziesz.
Ona jest daleko,
Tam w ziemi głęboko.
5. Ach idźże, ty idźże
A ułóm bióły kij,
A tnij na matczyn grób,
To ci sie odezwie.
6. Cóż też to tu ciyno
Po tym moim grobie?
Ach jo mamuliczko,
Puście mnie ku sobie.
7. Cóż byś tu jodała?
Pioseczek zobała.
A cóż byś tu piła?
Rosiczkę zbierała.
8. A idźże, ty idźże,
Ku swojej macierzy,
A niech cie umyje,
Koszulke wypierze.
9. Jak mnie ona myje,
Po głowie mnie bije,
A jak mnie oblyko,
Po progach mnie smyko.
10. Ona swoim dzieciom
Chleba z masłem daje,
A mnie sieroteczce
Mnie jeny wylaje.
11. Ona swoim dzieciom
Kasze w mleku warzy,
A mnie sieroteczce
Mnie wodą oparzy.
12. Ukraje mi chleba
Jak dębowy listek,
Jeszcze sie mnie spyto
Jeśli go zjem wszystek.
13. Ona swoim dzieciom
Koszuleczki szyje,
A mnie sieroteczce
Strzępeczki zwięzuje.
14. Biedna sieroteczka
W komorze siodała,
O swą mamuliczkę
Okrutnie płakała.
15. Przybyli anieli
Sierotkę zabrali,
Lecieli wazjutko
Do nieba niziutko.
16. Przybyli też djobli
Macoche na rogi
Zabrali szeroko
Do piekła głęboko.
17. Posadzili ją tam
Na zieleznym stołku,
Dali ji pić smołę
W rozpolonym gorku.
18. Ach Boże, przeboże,
Cóżem to zrobiła,
Żem jo sieroteczke
We wszystkim krzywdziła.
19. Gdyby jo sie mógła
Roz na ten świat wrócić,
Już bych jo wiedziła,
Jak sierotkom służyć.
20. Nóżki bych umyla,
Ten koł bych wypila,
Swojimi włosami
Nóżki bych utrzyma.

Śpiewała: Karolina Zelkowa, wdowa, Karwina.
Zanotował tekst i melodię: Alojzy Zelek.

Oprócz kaplic zasługują również na uwagę i krzyże przydrożne, które są zwykle zrobione z drzewa, kamienia lub żelaza. Najstarsze i zwykle najoryginalniejsze są krzyże drewniane. W okolicach górskich spotyka się krzyż drewniany z półkolistym daszkiem. Taki krzyż znajduje się np. za kaplicą na Witaliszowie, w Bukowcu obok pol. szkoły ludowej, w Jabłonkowie (na granicy gminy Boconowic) obok domu l. 367, który postawił ś. p. Jerzy Ramsza, były stolarz a równocześnie i nauczyciel w Sałajce. Do tej grupy krzyży należał i krzyż drewniany postawiony na Bagińcu w r. 1887, który obecnie zastąpiono nowym krzyżem kamiennym, ufundowanym przez Jerzego i Annę Świerczków a poświęconym 29 VI 1933.

Wspomnieć również należy o cudownym krzyżu w Sałajce. Gdy w r. 1836 grasowała w Jabłonkowie cholera i w ciągu trzech tygodni uśmierciła około 120 osób, rozpaczeni mieszkańcy udali się z procesją do krzyża w Sałajce. Nazajutrz nie było już ofiar groźnej epidemii. Zdarzenie to opisał ówczesny pieśniarz śląski, Adam Sikora, tkacz z Jabłonkowa, w pieśni o kilkudziesięciu zwrotkach.

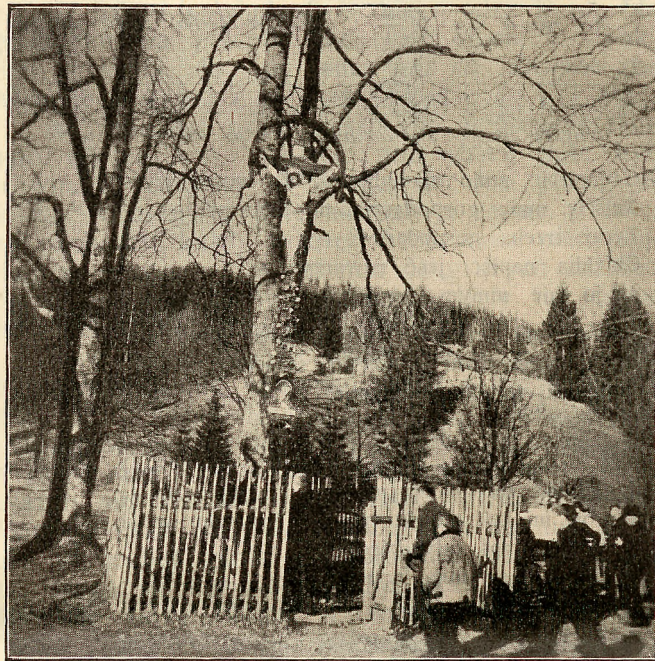
W nowszych czasach spotyka się przede wszystkim krzyże żelazne i kamienne. Dzieli się one często na katolickie i ewangelickie. Pochodzenie ich jest różne; przytoczyć można te same powody, co przy powstaniu kaplic przydrożnych. Czasem pochodzenie ich jest dosyć dziwne i zasługuje na wzmiankę. Jest np. w jednej wsi na Śląsku krzyż, który zawdzięcza swe pochodzenie następującemu zdarzeniu. W wiosce tej budowano szkołę wyznaniową a ponieważ był dług i musiano zaciągnąć pożyczkę, uchwalono, iż każdy obywatel danego wyznania musi pozwolić zainstalować na własnym budynku pewną część długu. Znalazł się jednak pewien obywatel, który, jak to mówią, postawił się »kantem« i nie pozwolił za nic w świecie zainstalować długu na domu, a kiedy drudzy ostro jego postępowanie krytykowali, zezłościł się i »wystąpił z wiary«, na dobitkę postawił na własnym gruncie obok drogi krzyż innego wyznania i dał na nim napis w obcym języku. I tak z głupiego uporu a więcej z zemsty zmienił dany obywatel nie tylko religię ale i język.

Osobny dział stanowią stare krzyże i pomniki cmentarne. Są one również wykonane z trzech materiałów: drzewa, żelaza i kamienia. Drewniane nie wchodzi obecnie w rachubę, ponieważ prędko ulegają zniszczeniu; trwalsze są żelazne i kamienne. Bardzo oryginalne są krzyże żelazne, odlane, których było kilka gatunków. Należałoby zbadać, która fabryka je wyrabiała, ponieważ krzyże żelazne o tych samych formach spotyka się na całym Śląsku, a wzory ich są niekiedy bardzo artystyczne. Kto by się zajął opracowaniem tego działu zabytków na Śląsku, na pewno znalazłby bardzo dużo ciekawego materiału. Musiałby jednak obejść stare cmentarze śląskie i porobić zdjęcia i rysunki. Nie tylko samo wykonanie i rysunek tych krzyży ma dla nas wartość, ale i napisy na nich umieszczone. Jeżeli jednak napisy słabo widoczne, to należałoby je osobno zanotować, a to bez wszelkich poprawek i zmian, bo tylko wierna kopia ma dla zbieracza wartość. Lecz nie tylko na krzyżach i pomnikach, ale i na starych płytach grobowych spotykamy ciekawe napisy, dlatego i te należałoby kopiować i badać.

Specjalnie należałoby opracować świetne obrazy i małe »kapliczki« umieszczone na drzewach. Fundatorami ich byli zazwyczaj ludzie ubodzy lub skapi. Starych, oryginalnych »kapliczek« się na Śląsku mało spotyka, za to bardzo dużo

jest »kapliczek« nowych, często niegustownych, pomalowanych na zielono.

Do »kapliczek« umieszczanych na drzewach można zaliczyć »kapliczki« umieszczane na domach, w murach. Najwięcej spotyka się ich w Jabłonkowie i okolicy. Co nas jednak uderza, to fakt, iż wszystkie figurki w tych »kapliczkach« są już nowe — gipsowe i nie wiadomo, gdzie się podziały te stare, oryginalne rzeźby ludowe, które dla sztuki śląskiej miały by niepoślednie znaczenie. Należało by w tym celu zasięgnąć u właścicieli informacji i dowiedzieć się, dlaczego usunięto te stare rzeźby i gdzie się one obecnie znajdują. Figurki te, choć często nieudolne mają dosyć dużą wartość muzealną i należy je strzec jak oko w głowie



Cudowny krzyż w Sałajce (G. Łomna).

i nie dawać lub sprzedawać byle komu, tylko oddać do muzeum. To samo odnosi się i do rzeźb św. Floriana, umieszczonych w szczytach domów w specjalnych niszach i do starych, świętych obrazów, które mają wielką wartość artystyczną i muzealną. Rzeczy tych należy nie tylko strzec ale często i bronić. Czasem takie stare rzeźby i obrazy znajdują się w prywatnym posiadaniu i dlatego należy zwrócić ich właścicielom uwagę, aby rzeczy tych nie niszczyli albo — nie daj Boże — przemalowali (bronzem), gdyż przez przemalowanie tracą zupełnie wartość. Do czystej sztuki ludowej należą i obrazy malowane na szkle, które się jednak u nas na Śląsku bardzo rzadko spotyka.

Wszystkie wymienione dzieła mają wielkie znaczenie dla architektury i sztuki ludowej. Dlatego ochraniajmy je przed zniszczeniem, spisujmy o nich notatki, fotografujmy, rysujmy a co się da, to przechowujmy i oddajmy do muzeum!

Słownik geograficzny.

Od niepamiętnych czasów Śląsk cieszyński był krajem czysto słowiańskim i pozostał nim do dziś dnia. Świadczy o tym nie tylko starosłowiańska gwara śląska, ale i nazwy miast, wsi, osiedli, części gmin, źródeł, rzek, potoków, strumyków, łąk, pastwisk, polan, hal, urwisk, gór, studni, stawów, moczarów, ognisk, dworów, cmentarzy, karczm, kopalń, młynów, kościołów, kaplic, krzyży, figur przydrożnych i t. p.

Wszystkie te nazwy tworzą bogaty skarbiec oryginalnych wyrazów starosłowiańskich. Niektóre z nich zostały już usunięte z mowy potocznej, a znaczenia niektórych już dzisiaj nie znamy. Często

nazwy te zostały przekształcone albo też zastąpione nazwami nowymi, często nie dostosowanymi do śląskiej gwary ludowej. Najoryginalniejsze nazwy przechowały się pod górami, ponieważ góral śląski z wrodzoną upartością potrafił bronić mowy swych przodków. Przez zebranie wszystkich tych nazw dałoby się utworzyć chociażby maleńki słowniczek geograficzny, który by miał wielkie znaczenie dla miejscowego regionalizmu i językoznawstwa śląskiego.

Na dowód tego, że nazwy te są bardzo oryginalne i że można je znaleźć w każdej gminie na Śląsku, przytaczamy kilka z nich:

Części gmin: Wygoda, Polesie, Międzylesie, Szpluchów, Mizerów, Głodniów, Raj, Sowiniec, Solca, Kamionka, Kamieniec, Zadki, Stawiska, Otrębów, Kopiec, Kościelisko, Kępka, Kopytów, Obora, Podobora, Pasieki, Baginiec, Pioseczna, Trzy granice, Suszów, Osówka, Sałajka, Parszywnia, Kebeszówka, Kopaniny, Obroki, Fifejdy, Głuchowa i t. p.

Rzeki, potoki: Młynka, Leśnica, Łucyna, Suszanka, Pietrówka, Strużka, Stonawka, Kopytna, Kopydło, Paździerówka, Raczk, Puńcówka, Oszetnica, Roztoka, Tyrka, Głuchowa i t. p.

Góry: Wróżna, Kobylec, Obłasiec, Szłapówka, Janula, Plenisko, Równica, Grón, Czubel, Żor, Kamienity, Głowczyn, Kępa, Kubalónka, Grónik, Soszów, Zagórze, Zolibiska, Knosple, Kiczera, Kikula, Koszary, Wyrchy i t. p.

Lasy: Brzeziny, Brzezówka, Goiczki, Liście, Borek, Oblasek, Bucyna, Bukowisko, Bukowiec, Lipiny, Świerczyna, Lyski, Jarzembik, Jawornik, Poręba, Wyrąbiska i t. p.

Stawy: Szkuciok, Pańszczok, Gadziok i t. p.

Dwory: Smółkowiec, Górny dwór, Nowy dwór, Stary dwór i t. p.

Gospody: Na Chechłowie, na Rogowcu, na Wewiórcu, na Fojstwiu i t. p.

Kaplice i krzyże: Na Szańcach, na Witaliszowie, na Pastuszcze, na Rozceściu i t. p.

Z tych kilku nazw widać, że w dziale tym mamy ogromne bogactwa językowe, które mogą mieć wielkie znaczenie dla naukowego opracowania języka naszego kraju. Nazwy te są często twarde, „kanciaste“, ale są nasze, są śląskie i dlatego powinniśmy je zachować i bezzwłocznie przysłać do ich zbierania według wyżej podanego podziału. Zapisywać je trzeba tak, jak je miejscowa

ludność wymawia, więc nie Dolna Leszna czy Liszna, tylko Dolna Lyszna i t. p. Dobrze jest dopisywać rodzaj, drugi przypadek liczby poj. i jak się nazywa mieszkaniem albo mieszkanka danej miejscowości, więc np. Trzyniec (Trzyńca), rodzaj męski, Trzyńczan, Trzyńczanka. Często jakaś miejscowość ma dwie nazwy; trzeba wtedy napisać obydwie. Ustalenie nazwy wymaga wiele ostrożności, trzeba się zwykle zwracać do ludzi starszych, którzy lepiej te nazwy znają i równocześnie dobrze jest informować się u więcej ludzi. Przy informowaniu trzeba pamiętać, aby nigdy nie podsuszać własnych spostrzeżeń albo własnych przypuszczeń.

Zebranie nazw w danej miejscowości nie jest rzeczą trudną. Wystarczy, jeżeli tym zajmie się jedna lub dwie osoby, które dłuższy czas mieszkają w danej gminie. Przed spisaniem tych nazw dobrze by było pomówić z kilku najstarszymi obywatelami w gminie, którzy mogą udzielić cennych informacji. Z niektórymi nazwami są związane często i ładne podania oraz i legendy, które również należy zanotować.

Zebrane nazwy najlepiej przysyłać do Redakcji „Ogniwa“, gdzie specjalny Komitet zajmie się uporządkowaniem i opracowaniem zebranego materiału. Wzywamy więc wszystkich ochotników, aby poświęcili kilka wolnych chwil i spisali wszystkie nazwy w danej miejscowości i przesłali je w najkrótszym czasie do Redakcji „Ogniwa“ w Czeskim Cieszynie. Nic się złego nie stanie, jeżeli z jednej i tej samej gminy wpłyną 2 lub 3 opisy. Można w ten sposób przeprowadzić dokładną kontrolę i uzupełnić zapomniane rzeczy. A więc zabierzmy się z całym poświęceniem i z całą energią do tej pracy a przyczynimy się do stworzenia cennego dzieła naukowego dla naszego regionalizmu.

Kądział.

Przed kilkudziesięciu laty uprawiano u nas len (dziś tylko tu i ówdzie). Na wiosnę zorano kawał pola i zasiano „siemieniec“ (nasienie lnu). Kiedy len odpowiednio wyrósł, zabierano się do plecia. Wyrrywano różne chwasty, jak ognicę, bławatki, podbiał, by nie zagłuszały lnu. W lecie len wyrrywano i rozścielano na ścierniskach, lub łąkach, gdzie zostawiano go na słońcu i deszczu przez kilka tygodni, by się należycie uleżał, włókno nabrało elastyczności i siły. Od czasu do czasu musiano go podźwignąć, by nie zarósł lub nie psuł się przybity deszczem do ziemi. Odpowiednio uleżany len dziergano lub omłacano, by wydobyć nasienie i pozbawić go zarazem główek, po czym wiązano go w małe „oczypki“, którymi napełniano następnie należycie wypalony piec. Ususzone wiązki pozabawiano powłoki przez tarcie lnu na „cierlicach“. Zmięty, wolny od łusek len, zwany kądzielą, czyszczono z paździerza i wytrzepywano na „prátku“. Czystą kądziel układano na przędzy i przedzono na kołowrotku. Lepsze nici, służące do szycia, przedzono na wrzecionku. Prządka, siedząc na ławie, naciskała nogą na „szłapkę“ i puszczała kołowrotek w ruch. Rękami pociągała kądziel z przędzy i puszczała tworzącą się nić, którą maczała wodą lub śliną, na „fajfę“. Kiedy fajfa była

pełna, motano przędę na „motowidło“, tworząc pasma, które składały się zazwyczaj z 24 nici. Kiedy pasm było 30, zdejmowano je z motowidła i tak powstałe „przędzionko“ suszono. Przędę tę zanoszono do tkacza, który tkał na warsztacie tkackim surowe płótno. Z płótna tego szyto worki, „dzichty“, spodnie, spodki, „łoktusze“. W lecie surowe płótno warzono w kotłach, prano i rozciągano na bielenie, by tak otrzymać płótno lepsze, mniej ostre, z którego szyto bieliznę.

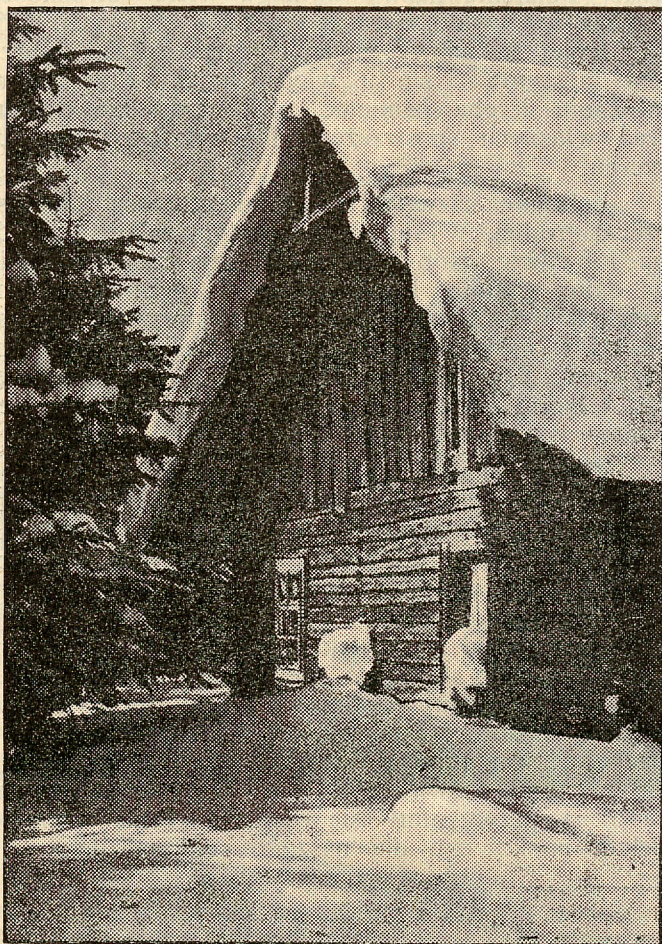
Kądziel przadł każdy. Nie tylko gospodyni, córki i służące, lecz nawet gospodarz i parobcy. Pradł nie tylko chałupnik—wieśniak, lecz i t. zw. lepsi ludzie. Przędza czy płótno były nawet środkiem płatniczym. Służące otrzymywały za służbę czy też „na lepszą“ (prezent) kądziel lub płótno, które zostawiały dla siebie, lub sprzedawały na jarmarku. Niejedna dziewczyna, wychodząc zamaż, przyniosła między innymi w wianie pełną trówę kądzieli.

Tarcie a nawet i przedzienie lnu odbywało się dosyć często z „pobaby“. Dziś zgromadzano się u tej, jutro znowu u innej gospodyni. Po pobabach chodziły szczególnie uboższe dziewczęta i służące, by sobie coś zarobić. Skończywszy prace wieczorne w domu udawały się na pobabę. Tutaj pracowała każda na „przedbitych“, by wykazać swą

zręczność, umiejętność, pracowitość (co w znacznej mierze pomagało do wydania się), otrzymać pochwałę od gospodyni i jak najgrubszą garstkę kądzieli, jako zapłatę.

Należałoby w tak ciężkich czasach, jakie dziś przeżywamy, pomyśleć o wznowieniu uprawy lnu, która dałaby pracę i zarobek niejednemu bezrobotnemu. Rząd czuł. nawet subwencjonuje uprawę lnu.

—As—



Chata góralska pod śniegiem.



Znikający typ śpiewaka wioskowego.

Stawni ongiś lirnicy, obchodzący z lirą i piosenkami wsie, należą dziś do rzadkości. Zdjęcie nasze przedstawia oryginalny typ lirnika wołyńskiego, jednego z tych nielicznych już piewców przeszłości.

Gdy szopeniści całego świata grają w Warszawie.

Znaczenie Fr. Szopena dla Polonii zagranicznej.

Odbywający się obecnie w Warszawie już z kolei III-ci Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Szopena nasuwa garść refleksji na temat postaci nieśmiertelnego Piewcy duszy polskiej i jego kultu w Ojczyźnie.

Fryderyk Szopen urodził się w roku 1809 w Żelazowej Woli, blisko Sochaczewa. Był naturą niezmiernie wrażliwą, możnaby nawet rzec, przeczuloną. Karierę muzyczną, której się całym sercem i duszą poświęcił, rozpoczął pod światłym kierunkiem znakomitego muzyka i pedagoga Józefa Elsnera. Przymieszka krwi francuskiej, odziedziczonej po ojcu, czuła i pełna kobiecości atmosfera domu rodzinnego, na koniec szeroko w nim przez nauczycieli rozwinięte zamiłowanie do tematów ludowych — wszystko to przyczyniło się do wytknięcia kierunku twórczości Szopena, który, przy olbrzymim talencie i ożywionej iskrą geniuszu swobodzie twórczej, uczynił go czołowym

kompozytorem nie tylko polskim ale wszechświatowym. Albowiem sztuka jest elementem międzynarodowym, a choć wyrasta na podłożu myśli i odczucia narodu, to do skarbnicy międzynarodowej wnosi swój składnik najistotniejszy — swoje piękno, to samo piękno, które drzemie od tysięcy lat w starych greckich rzeźbach, w muzyce klasyków, w malarstwie Renesansu.

Triumfalny pochód muzyki Szopena nie jest jednak dostatecznie silnym wyrazem hołdu dla twórczości tego wielkiego artysty i Polaka. Oto w Ojczyźnie, wdzięcznej swemu wielkiemu Synowi, garść ludzi, ożywionych siłą jego wielkiego dzieła, postanowiła uczcić Jego pamięć, jednocząc się we wspólnym wysiłku myśli i dorobku materialnego. Wzniesiono w Warszawie wspaniały pomnik Szopena dłuta znakomitego rzeźbiarza — Szymanowskiego. Pomnik ten stanął w Alejach Ujazdowskich, w pobliżu Pałacu Belwederskiego,

który dla Polaków stał się świątynią Wielkiego Ducha Wskrzesiciela Polski Niepodległej — Józefa Piłsudskiego.

W kilka miesięcy po odświeżeniu pomnika Szopena, w kołach muzycznych Warszawy powstała inicjatywa organizowania stałych Konkursów Międzynarodowych imienia Fryderyka Szopena. Miałyby one odbywać się co pięć lat, a celem ich miało być nagradzanie najbardziej wzorowego wykonania wybranych dzieł Mistrza. Protektorat nad tymi konkursami objął Pan Prezydent Rzeczypospolitej — prof. Ignacy Mościcki.

Po drugim konkursie, który odbył się w roku 1932, powstały jeszcze dwie imprezy w Warszawie: pierwsza z nich, to Wystawa Pamiątek po Szopenie, która odbyła się w Muzeum Narodowym, a która zgromadziła liczne, bardzo interesujące eksponaty, wiążące się z życiem i twórczością Mistrza, a więc przede wszystkim fortepian, szereg listów, dokumentów i drobiazgów, które odegrały mniejszą lub większą rolę w życiu Szopena. Drugą imprezą było utworzenie »Komitetu Dni Szopenowskich w Polsce«. Na czele tego Komitetu stanął gen. Sosnkowski; celem tej imprezy było: 1. doprowadzenie Żelaznej Woli, miejsca urodzin mistrza, do stanu, odpowiadającego epoce Szopena, 2. urządzanie Wielkich Festiwałów Szopenowskich w całej Polsce, 3. sprowadzenie prochów Wielkiego Artysty do Ojczyzny.

Dzięki usilnej pracy tego Komitetu, przy współudziale i poparciu władz, udało się uzyskać połączenie Żelaznej Woli z Sochaczewem przy pomocy kolejki dojazdowej, co umożliwia tysiącnym rzeszom wielbicieli Szopena osobiste zaznajomienie się z miejscowością, w której genialny kompozytor ujrzał światło dnia, zwiedzenie Muzeum Szopenowskiego i wreszcie pięknych okolic Żelaznej Woli. Wkrótce prawdopodobnie zostanie też zakończone dzieło sprowadzenia do kraju prochów Mistrza, które spoczną w Grobach Zasłużonych w Krakowie na Wawelu, obok śmiertelnych szczątków największych Polaków, jakimi byli Pierwszy Marszałek Polski — Józef Piłsudski, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki i in.

Fryderyk Szopen i jego twórczość posiadają szczególne znaczenie dla Polonii Zagranicznej. Wielki mistrz fortepianu, oderwany od gleby rodzinnej,

do której za życia nigdy mu danem nie było powrócić, jest tym samym bliższy Polakowi żyjącemu poza granicami Macierzy. Opuściwszy Polskę bardzo wcześnie, wyniósł z Niej jednak to, co w jego twórczości jest najistotniejsze, co stanowi najtrwalszy węzeł, łączący go z Ojczyzną — duszę polską. Na emigracji, w Paryżu, we Włoszech, pod niebem morza Śródziemnego, w krajach, które doń przemawiały dźwiękami obcej mowy, symbolami obcymi, które go zmuszały do myślenia innymi kategoriami — nie zatracił swej indywidualności osobowej i narodowej. Przeciwnie — jeszcze stamtąd potrafił krzepić serca, koić ból duszy i radować myśli dźwiękami najbardziej swojskimi, bo wyrosłymi na podłożu prostej, ludowej pieśni polskiej.

Ta polska melodia była dlań piastunką, opiekunką i przewodniczką; zasłuchany w niej, stale dążył do stworzenia sobie nowego świata i dzięki wielkiej potędze twórczej, dzięki romantycznemu zapałowi — świat ten sobie stworzył, żył w nim i umarł, przekazując Polsce wielką spuściznę twórczą, tak wielką, jakiej od czasów Mozarta i Beethovena sztuka po żadnym geniuszu nie otrzymała.

Warszawa, będąca sercem i mózgiem Polski Współczesnej, wdzięczna Fryderykowi Szopenowi za jego wielkie dzieło, godnie czci jego pamięć. Jednak nie tylko ona. Kult szopenowski na całym świecie znajduje silny oddźwięk. Najgorętszymi jego wyznawcami są rozproszeni po szerokim świecie Polacy, którym dzieło wielkiego Mistrza tonów jest najbliższe, najserdeczniej z nimi zrośnięte. Oni najlepiej odczuwają piękno jego muzyki, powstałej na gruncie obcym, lecz sięgającej swymi korzeniami gleby ojczystej, muzyki, w której drga tęsknota za krajem, za wolnością — za tym wszystkim, co Szopen utracił. Nie stracił tylko swej bezgranicznej miłości do Ojczyzny, nie stracił bezmiernego przywiązania do Polski, która teraz, po latach niewoli i poniżenia, zgotuje triumfalny wjazd swemu największemu kompozytorowi, a w uczczeniu jego nieśmiertelnej chwały nie ustaje na chwilę w rozstawianiu jego geniuszu po najdalszych zakątkach kuli ziemskiej. I to, co Szopen dał Polsce, Ona teraz mu w części zwraca — przez uwielbienie i cześć najgłębszą.

Emgar.

Sport

Jadwiga Wajsówna, laureatka Wielkiej Honorowej Nagrody Sportowej Polski.

Nigdy jeszcze nie było na Zimowych Mistrzostwach Lekkoatletycznych Polski w Przemyśle tak rojno i wesoło jak w tym roku.

Różnokolorowe stroje zawodników migają po bieżni, żarty i docinki krzyżują się w powietrzu. Ogólna uwaga zwrócona jest na Kusocińskiego, który po trzyletniej przerwie zaczął niespodziewanie zupełnie trening i oto zjawił się w Przemyśle po raz pierwszy od dłuższego czasu nie jako starter i sędzia, ale jako zawodnik.

Ale my »polujemy« na kogoś innego, na laureatkę Wielkiej Honorowej Nagrody Sportowej Polski — Jadwigę Wajsównę.

Panna Jadzia wygrała skok wzwyż i w dal z miejsca oraz zdobyła drugie miejsce w rzucie kulą i trzecie w biegu na 50 m z płótkami (właściwej specjalności naszej rekordzistki — rzutu dyskiem w hali się nie rozgrywa). Nic dziwnego, że panna Jadzia jest rozpromieniona i na wywiad zgadza się natychmiast, zwłaszcza, gdy dowiaduje się, że przeznaczony on jest dla pism polskich zagranicą.

— Czy jestem zadowolona ze zdobycia Nagrody Honorowej? No, a cóż pan myślał? Dlaczego bym się nie miała cieszyć, skoro poza ogromnym sukcesem — proszę nie zapominać, że miałam szczęście niezwykle groźnych przeciwników — była to dla mnie szalona niespodzianka.

— Tak? Nie spodziewała się pani »zwycięstwa«?

— Zupełnie nie, nawet mi to przez myśl nie przeszło.

— A kogóż to pani typowała?

— Naturalnie, że moją imienniczkę — Jadzię Jędrzejowską. Odniosła tyle sukcesów zagranicą i wszyscy byli przecież zdania, że jej należy się nagroda. Poza tym w plebiscycie, rozpisany przez »Przegląd Sportowy«, czytelnicy też wypowiedzieli się za tenisistką.

— A gdyby tak pani miała wysuwać kandydata? Kto według pani był najodpowiedniejszy?

— Kurkowska-Spychajowa. To jest jednak mistrzyni świata, gdy ani Jędrzejowska nią nie jest, ani ja.

Z kolei proszę o krótki »rys historyczny« kariery sportowej laureatki. Oto czego się dowiaduję: Jadwiga Wajsówna urodziła się 24 lata temu w Pabianicach (również miasteczko przemysłowe pod Łodzią). Początkowo była członkinią »Sokoła«, w którym uprawiała gimnastykę i lekkoatletykę. Po raz pierwszy na zawodach startuje w r. 1929, a już w 1930 bierze udział w reprezentacji Polski na meczu w Czechosłowacji w Pradze i wygrywa



Pomnik z lodu i śniegu.

W Worochcie, w miejscu, gdzie odbyło się rozdanie nagród zwycięskim patrolom, biorącym udział w największej imprezie narciarskiej Polski, a mianowicie w tradycyjnym Narciarskim Marszu Huculskim Szlakiem II-ej Brygady Legionów — stanęło popiersie Marszałka Józefa Piłsudskiego, wyrzeźbione w śniegu przez huculskiego artystę ludowego — Połotrankę, ustawione wśród flag na kilkumetrowej kolumnie lodowej.

rzut dyskiem. W r. 1931 bije sławny rekord Kono-packiej, a następnie w ciągu sezonu poprawia go jeszcze kilkakrotnie.

Na Olimpiadzie w Los Angeles panna Jadzia jest trzecią. — Boże, jaką miałam wtedy treść — powiada. W następnym roku poprawia rekord światowy, a w 34-ym w Londynie zdobywa mistrzostwo świata — niebywałym jak na tamte lata wynikiem: 43.79 m. W kilka tygodni później w Brukseli — nowy rekord — 44.19. Podczas pierwszego meczu z Niemcami w Warszawie Wajsówna zwycięża Mauerner, z którą wygrywa potem jeszcze raz w Londynie. Ale w 1935 r. potężna, przewyższająca pannę Jadzię o głowę Niemka uzyskuje fenomenalny wynik — 48.35 m.

Olimpiada berlińska jest wielkim pojedynkiem tych dwóch niedosiężonych rywalek. Wydaje się, że Jadzia stoi na straconej zupełnie pozycji, tymczasem do przedostatniego rzutu prowadzi ona, wykazując niezwykle równy poziom. W ostatnim rzucie dopiero udaje się Mauerner pobić Polkę.

— No, a jeszcze musi nam pani powiedzieć parę słów o planach na przyszłość.

— Wycofuję się ze sportu!

— Nie, jakże to? Niemożliwe!

— Ależ tak — odpowiada panna Jadzia — ale jej niebieskie oczy śmieją się przy tym tak, że zadają kłam słowom. Nie, nie wierzymy, — panna Jadzia już niejednokrotnie zapowiedziała o swoim wycofaniu się, ale zawsze jakoś odwoływała to i w następnym roku poprawiała wynik. Nie wątpimy więc, że tak będzie i tym razem i spodziewamy się latem... nowego rekordu Polski, a może i świata, mimo, że i obecnie zdaje się być wyśrubowany do ostatnich już granic... Ed. Gotard.

Dział kobiecy

Praca kobiet w organizacjach młodzieżowych.

Zanim przystąpimy do omówienia jak powinna wyglądać praca kobiet w organizacjach młodzieżowych, zatrzymamy się chwilę nad zagadnieniem, czy należy dążyć do tego, by młodzież żeńska tworzyła własne organizacje, czy raczej winna uczestniczyć w pracach stowarzyszeń mieszanych.

Jak zwykle w życiu bywa — tak jedno jak i drugie stanowisko ma swoje dobre i złe strony:

Nie ulega wątpliwości, że dziewczęta w organizacjach odrębnych czują się swobodniejsze i że licząc tylko na własne siły, prędzej mogą wyrobić w sobie energię i zaradność, że — jednym słowem — łatwiej zdobywają to, co nazywamy wyrobieniem społecznym, że wreszcie mogą tam skuteczniej zaspakajać własne swe zainteresowania.

W organizacjach mieszanych bowiem bardzo często bywają one spychane na drugi plan przez młodzież męską, która, jako energiczniejsza i w pracy organizacyjnej bardziej wyrobiona, nierzadko cały ster kierownictwa w swoje ujmuje ręce, nie dając koleżankom pola do zbierania doświadczeń i nie doceniając w dostatecznej mierze ich potrzeb i znaczenia.

Z drugiej jednak strony nie zapominajmy, iż jeśli zadaniem organizacji młodzieży jest tworzenie środowisk, w którym znalazłaby ona z jednej strony zaspokojenie potrzeb towarzyskich, z dru-

giej — przygotowanie do zadań życia, to łatwiej osiągnąć to przy ich składzie mieszanym.

Wszelkie zabawy, przedstawienia teatralne, wieczornice i t. p., by mogły liczyć na pełne powodzenie wymagają udziału tak chłopców jak i dziewcząt — dalej, jeśli organizacja ma członka wychowywać, zaprawiać do lepszego spełniania zadań społecznych tak obecnych, jak i przyszłych, to nie zapominajmy, że społeczeństwo wymaga na każdym kroku racjonalnego, harmonijnego współżycia elementu męskiego i kobiecego, które to współżycie dopiero daje pełnię.

Dziewczęta uczą się od chłopców energii, inicjatywy, odwagi słowa i poczynań, chłopcy od dziewcząt przejmują większą delikatność obęjsia, subtelność uczuć, sumiennność i porządek, które bezsprzecznie w większej mierze posiadają.

Wspólnie zaś uczą się oni czegoś niezmiernie cennego dla późniejszego ich życia: wzajemnego zrozumienia i szacunku, wspólności zainteresowań — to znaczy tego, co jedynie stać się może podstawą zdrowego współżycia rodzinnego i społecznego.

Jeśli bowiem dzisiaj tak wielką wagę wychowawczą przypisujemy rodzinie, która, zwłaszcza na obczyźnie, jedynie przekazać może młodemu pokoleniu narodowe i etyczne wartości, to nie zapominać, że jej podwaliną stać się może tylko trwały związek mężczyzny i kobiety, którzy rozumieją się i szanują nawzajem, posiadając wiele wspólnych intelektualnych i kulturalnych zainteresowań.

Pamiętając o specyficznych właściwościach i zainteresowaniach dziewcząt, należałoby powierzać im te funkcje, do których się one specjalnie dobrze nadają. I tak np. doświadczenia wykazały, że kobiety są doskonałymi skarbniczkami, dokładnymi, sumiennymi, które powierzonych sobie społecznych funduszy strzegą gorliwie i gospodarują nimi racjonalnie.

Również są one niezastąpione jako gospodynie światlic, w których utrzymują należyty porządek i poziom estetyczny. Jednym bowiem z najważniejszych i najwartościowszych właściwości kobiety jest to, że wszędzie lubi ona wnosić ład i piękno i należy jej to w organizacji umożliwić.

W zespółach, czy na kursach robót ręcznych można prowadzić naukę kroju, szycia, haftów, koronek, trykotarstwa, kilimkarstwa, a nawet zdobnictwa, guzikarstwa czy zabawkarstwa. Nabycie tu umiejętności mogą oddać kobietom olbrzymie usługi, pozwalając im nie tylko zaspakajać pewne potrzeby organizacyjne i rodzinne, ale nawet tworzyć warsztaty zarobkowe bez opuszczania domu i dopomagać do utrzymania swego, czy swych najbliższych.

Kobieta — to także urodzona opiekunka słabych i chorych; nauczmyż ją, by ta jej opieka była racjonalną — wszelkie kursy czy zespoły ratownictwa, pielęgniarstwa, higieny — wielkie dla naszych koleżanek mogą mieć znaczenie. Oczywiście, jeśli organizacja posiada apteczkę — w ich ona powinna się znaleźć rękach.

Wreszcie — jest to rzeczą niezmiernie ważną, by każda kobieta posiadała pewne wiadomości z zakresu psychologii dziecka i pedagogiki. Wszak zawsze ona pierwszą wychowawczynią człowieka będzie — a na obczyźnie przy tym na niej spoczy-

wa olbrzymie zadanie wpojenia w duszę dziecka trwałych uczuć narodowych i winna ona do tego wcześniej się przygotować.

Dlatego też prowadzenie przez koleżanki samokształcenia w tej dziedzinie jest czymś wręcz nieodzownym.

Jeśli idzie o metodę pracy we wszystkich wyżej wymienionych sekcjach czy zespółach, to jasną jest rzeczą, że nie będzie się ona różnić od tych metod, jakie wogóle w pracy społeczno-wychowawczej są stosowane. Wspólne czytanie, dyskusje, pogadanki, ćwiczenia, pokazy, konkursy, wystawy, kursy wreszcie — wszystko to formy wartościowe i cenne i wybór ich zależeć będzie jedynie od warunków i możliwości danego terenu.

Jeśli idzie jeszcze o ewentualne funkcje, jakie z wielkim powodzeniem pełnić może kobieta w organizacji, to wymienić jeszcze można urząd bibliotekarki, który wymaga znacznej dozy cierpliwości i dokładności jej właściwych. Nie wynika stąd zresztą, by dobrym bibliotekarzem nie mógł być mężczyzna, jak również, by kobieta nie nadawała się na stanowisko prezesa, czy innego członka zarządu. Idzie jedynie o to, by w życiu organizacyjnym każdy z członków dawał przede wszystkim to, co najlepiej i z najmniejszym nakładem wysiłku może wykonać, wskazując przy tym na te dziedziny, w których specjalnie gorliwie kobieta winna się kształcić.

Harcerstwo

Sport śnieżny.

Przez kilkanaście dni śnieg sypał obficie. Z sinych chmur odrywały się śnieżne tumany i w krótkim czasie cała ziemia okryła się grubym, bielusińskim, puszystym dywanem. Cały kraj został zamieniony w jeden biały przestwór.

Lecz skoro ziemi nie można było odróżnić od nieba, zaświeciło słońce i unosząc się tuż nad ziemią kąpało się w brylantowych igielkach lodu.

W taki dzień pogodny, polami, poprzez zaspy śnieżne, brodzą gromadki chłopców i suną w stronę boru, wijącego się ciemną smugą hen na krańcu ziemi. Słońce powoli zachodzi poza bór, oblewając czerwienią pierzaste chmury gęsto rozsiadłe na niebie, a na drzewa obsypane kłębami śniegu bluzga rubinem promieni.



Uczestnicy Ogólnopolskich Zawodów Narciarskich w Gródku.

Siedzą: drugi z lewej — znany polski zawodnik narciarski St. Marusarz, trzeci — Jan Kurzys, zwycięzca zawodów.

Chłopcy w wesołej gwarze i swawoli dobiegają boru. Wszyscy jakoś dziwnie poubierani, podobni do plemiona Indian. Na głowach sterczą pióra sokołe wetknięte w czubki futrzanych czapek przysłaniających oblicza. Jedynie „blade twarze“, dalekie świsty lokomotywy pędzącej w stronę Cieszyna, oraz heł w dali nasze ukochane Beskidy, przeczą czerwonoskóremu pochodzeniu chłopców i świadczą o tym, że nie jesteśmy w Ameryce, lecz na rodzinnej ziemi — Śląsku.

* * *

W głębi lasu na obszernej polanie rozlega się głucho uderzenie w skostniałą skorupę ziemi. Kilku chłopców uwija się dookoła pnia stojącego w środku polany. Po chwili uderzenia milkną i chłopcy z tryumfem wyciągają zardzewiały topór ukryty pomiędzy korzeniami.

W tym samym czasie, na pagórku pod rozłożystym dębem, brnąc w śniegu po pas, inna gromadka chłopców grzebie w śniegu. Po długich poszukiwaniach znaleźli kamień. Z wielkim wysiłkiem odwalają go i ze skrytki wyciągają toporek.

Będzie wojna — bo według dawnego zwyczaju, corocznie, kiedy śnieg pokryje ziemię, dwa plemiona: „Wilków Północy“ i „Południowych Psów“ wykopują swoje topory na znak wojny. Obydwa plemiona przez cały rok żyją w przykładowej zgodzie, lecz skoro tylko śnieg otuli brunatne łąny i świszczące bory, wtedy wypowiadają sobie walkę „na śmierć i życie“.

* * *

W świetlicy gromady zuchowej „Wilków Północy“ gwarno i rojno. W każdym kącie kupi się po kilku chłopców i szeroko rozpowiadają o tym, jak to wczoraj wykopano topór wojenny i przesłano go „Południowym Psom“. Te topór przyjęły i przysłały swój. Przyjęcie zwiastunów było bardzo uroczyste. Cała gromada przywdziała pióra i ozdoby i migiem przemieniła się w plemię indiańskie. Wódz usiadł na pniaku w środku świetlicy, otoczony całą gromadą przyjął postać. Ci w krótkich słowach przedstawili mu, że nie mogą przeboleć zeszłorocznej klęski i nie mogą zgodzić się na warunki pokoju podyktowane przez stronę zwycięską. Całe plemię w ciągu roku pracowało nad wzmocnieniem swych sił, nad zwiększeniem zręczności wśród gromady. Dzisiaj wzywają plemię do walki, która, jak corocznie, ograniczy się do zdobycia fortu śnieżnego. Fort zostanie wybudowany na polanie, miejscu letnich zabaw plemiona „Południowych Psów“. Później nastąpiło podpisanie warunków wojny z najważniejszym punktem w umowie, że wolno bić się tylko kulami śnieżnymi, za zranionego i wykluczonego z bitwy uważa się każdego oskalpowanego, czyli każdego, kto pozwoli nieprzyjacielowi zabrać sobie pióra sokołe wetknięte w futrzaną czapkę. Za zwycięstwo uważa się zdobycie fortu przez zatknięcie sztandaru na wieży ustawionej w środku lub też oskalpowanie wodza.

* * *

Na rozległej polanie, gdzie wczoraj jeszcze śnieg w podmuchach wiatru beztrząsco szeleścił i sypał wysokie tamy, dzisiaj stanął prawdziwy zamek. Dookoła wznosiły się mury śnieżne przeplatane basztami wysoko strzelającymi w górę. Pomiędzy murami rozestął się szeroki plac a w środku stanęła wieża przypominająca wieżę piastowską, taką samą, jaką widzimy w Cieszynie. Wszystko równo, gładko ustawione a takie bielusińkie, że aż oczy bołą od patrzenia.

Wewnątrz pod murami gwarno. Gromada „Południowych Psów“ przywdziana w pióra, gotuje się do obrony gniotąc w małych piastkach śnieżne kule i układa je na zapas pod murem. Wódz przybrany w przepiękny wieniec piór jastrzębich lata pomiędzy chłopcami, dodaje otuchy.

Nagle z głównej wieży obserwacyjnej ktoś zakrzyknął, że widzi jakieś postacie czające się w lesie. Na to ostrzeżenie, wódz głośno zaszczekał i chłopcy na ten znak ustawili się przy wylotkach, oczekując nieprzyjaciela.

Nie długo czekali. Bo naraz z pośród drzew rozległy się wycia, dzikie okrzyki, i grad śnieżnych kul posypał się na fort.

Rozpętała się formalna bitwa przeplatana rykiem, śmiechem i radosnym zachęcaniem się do walki. Z poza murów prażono nieprzyjaciela niemiłosiernie. Kilkakrotnie „Wilki Północy“ wdzierały się na wały, lecz stracone lawiną śniegu musiały szukać schronienia w pobliskich krzakach i poza zwałami gór śnieżnych. Atak powtarzano kilkakrotnie. Po obydwu stronach błyskały w ręku skalpy nieprzyjaciół.

Po kilkugodzinnej bitwie, zwycięstwo przechyliło się na stronę „Południowych Psów“. Plemię „Psów“ gotowało się do ostatecznego ataku. Lecz nagle stało się nieszcześnie, decydujące o zwycięstwie. Oto wódz przechylając się za nadto przez obwarowanie, runął na dół głową w głęboki rów napełniony śniegiem, czyniąc wielki wyłom w śnieżnym murze. Jak stado wróbli rzucające się na ziarno, tak też „Wilki Północy“ rzuciły się na wodza nieprzyjaciół. W mig zdarto mu pióra ze skroni, spętano i powleczono na sankach poza kordon, w miejsce bezpieczne. Tymczasem reszta gromady wdarła się przez wyłom do fortu i zatknęła na wieży piastowskiej biało-czerwoną chorągiewkę. Fort został zdobyty.

* * *

W środku boru, wśród resztek murów forticy śnieżnej, dookoła ogniska, skupione gromady ukończyły właśnie obrzędy związane z zawarciem pokoju. Wodzowie gromad podali sobie dłonie na znak zgody, a chłopcy-indianie otaczając zwartym kołem swych naczelników śpiewają z zapalem swój hymn.

Księżyc unosząc się wysoko nad lasem, oblał srebrnym blaskiem całą powłokę ziemi a śnieg, niby prześliczny haft, skrzy się miliardami skierek, to mieni się przeróżnymi odcieniami kolorów, to szerzy się matową bielą do lśniących gwiazd na wysokim firmamencie.

Polami, w stronę wioski, maszerują gromady zuchów-plemion w przykładowej zgodzie, po społu, bez poprzedniej nienawiści, jaką w nich rozpętało uczucie podczas walki. A pod stopami śnieg piszczy i skrzypi, jak gdyby uśmiechał się i opowiadał o zwycięstwie: na harc... na harc... na trud... bo harc... to trud!... war-to być zu-chem!!...

Słownik Obozowy.

* * *

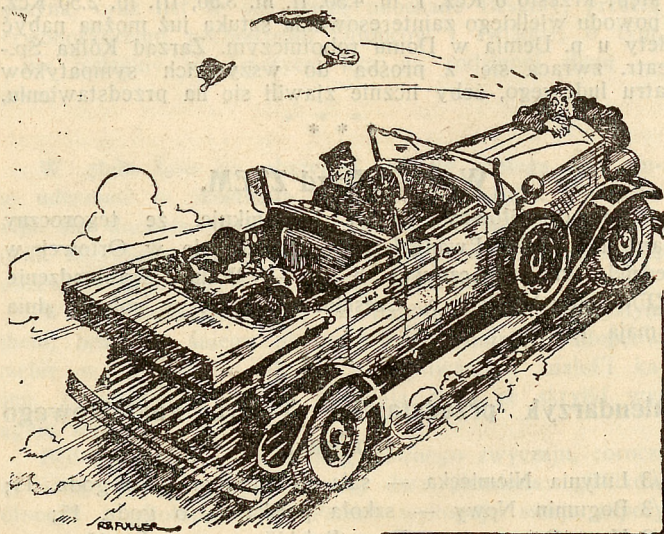
Czy wiecie że...

W ostatnim czasie, na naszym terenie, zrozumienie potrzeby tworzenia gromad zuchowych ruszyło wielkim krokiem naprzód. Ruch, który dusze najmłodszych wiąże z naturą, by ci w wesołej grze nabierali tężyzny moralnej i fizycznej, zdobywa sobie znaczenie na całym świecie. Tych kilka słów, opisujących jedną z licznych zabaw gromad zuchowych, poświęcono przede wszystkim wodzom i wszystkim tym, którzy ruchem zuchowym interesują się. Niechaj zatem ten krótki szkic, opisujący zbiórki zuchów w grze zimowej przyczyni się do pogłębienia wiadomości o ruchu, przyczyni się do zainteresowania trylogią A. Kamińskiego („Antek Cwaniak“, „Książka wodza zuchów“, „Krag rady“), która zawiera w sobie wprost nieocenione skarby odnoszące się do życia i psychologii chłopca-zucha.

* * *

79

Drobna pomyłka.



— Franc — jak można było kupić tak brzydką figurę na chłódnik!

Powód muzykalności.

Mężczyźni są zazwyczaj muzykalni dlatego, że gdy chłopak się urodzi, nazywają go bębniem, gdy podrasta nazywa się smyk, gdy dorasta nazywa się cymbał, gdy się ożeni nazywa się trąba, a gdy się zestarzeje zostaje fujarą.

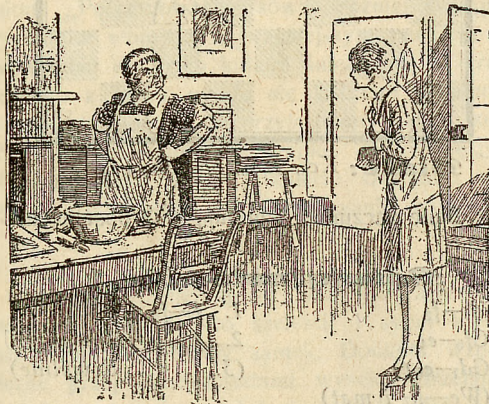
Bezczelność.

Przed drzwiami stoi żebrak. Wychodzi kucharka i podpira boki:

— Żebrać przychodzicie?

— A co sobie litości godna osoba myślała, że przyszedłem prosić ją o rękę?

Smok kuchenny.



— Muszę Kasi powiedzieć, że tatuś czuje się dziś niedobrze i pozostał w łóżku.

— Aha — a paninka uważa, że mi dała w bardzo delikatny sposób do zrozumienia, iż państwo nie są zadowoleni z mego gotowania. Mogę sobie pójść od pierwszego!

Niech się pan nie boi!

Na rozprawę sądową wchodzi niebezpieczny zbrodniarz w asystencji dwóch żandarmów z nabitymi karabinami.

W czasie wywodów obrońcy jeden z eskortujących go żandarmów bawi się przez roztargnienie kurkiem przy karabinie.

Jeden z przysięgłych — spostrzegłszy to — błędnie, woła drżącym głosem:

— Panie prezydencie!... ten lekkomyślny żandarm bawi się jak dziecko swym karabinem. Kula akurat mnie może trafić!...

Najpoważniejszym tonem odpowiada prezydent:

— Niech się pan nie boi! Na ten wypadek mamy przecie pańskiego zastępcę!...

* * *

Zoolog.

— Ogromnie tam dużo much, powiadam wam. Trudno wytrzymać... Przeważają jednak samce.

— Samce? A po czymże poznajesz, że to nie samiczki?

— Bo samiczki siedzą na lustrze, a samce zaś obsiadają rozlane piwo na stole.

* * *

Pieczołowita żona.

— Wie pani, że mój mąż nie może sobie dać rady beze mnie...

— Tak samo i mój. Proszę pani, jak on sobie guziki przyszywa, albo ceruje skarpetki, ja zawsze muszę nawlekać mu igłę!...

* * *

— Wiesz, że w lipcu tak słońce prażyło, że położone jajko na głowie ugotowało się!

— E, to jeszcze nic. Ja tej zimy tak przemarzałem, że dwa tygodnie nie mogłem się umyć, bo mi zaraz ręce do twarzy przymarzały.

* * *

Zaraz po wykopaniu kartofli szykował się Wojtek do wesela, na które zapraszał sąsiadów z całej wioski.

Troskliwa matka zapytała go:

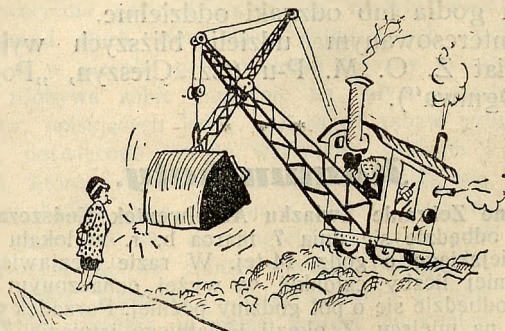
— Wojtuś, synku kochany! Czy już sprawiłeś sobie wszystko, co potrzeba?

— A to niby. Tylko nie kupiłem jeszcze harmonii i trzeba będzie jechać do miasta.

— A na co ci harmonia? — pyta się matka.

— Bo pamiętam, że wuj zawsze powtarzał, jako małżeństwo bez harmonii nic nie warte.

Zawsze grzeczny.



— Halo — zgubiła pani chusteczkę!